

Miłość sterowana

Z Bogumiłą i Krzysztofem Węgrzynami o „Gdańskiej Wiosnie” i byciu artystą rozmawia Grażyna Pilarczyk

- Rozmawiamy w momencie szczególnym. Dobiega końca festiwal „Gdańska Wiosna”, w którym występuje Pan przynajmniej w potrójnej roli: kierownika artystycznego, mistrza wiolinistyki i wykonawcy. W której z tych ról czuje się Pan najlepiej?

Krzysztof Węgrzyn - Oczywiście moim pierwszym zawodem, rzekłbym posłannictwem, jest niewątpliwie moje bycie ze skrzypcami. To jest punkt wyjścia i to nadaje dynamikę wszystkim moim działaniom. To, o czym Pani wspomniała, to są naczynia połączone. Z jednej strony sztuka wykonawcza, z drugiej strony jest to nierozzerwalnie połączone z kształceniem młodych ludzi. Obecnie prowadzę własną klasę skrzypiec w Akademii Muzycznej w Hanowerze, ale wychodzę poza moją uczelnię, kształcę młodych artystów na kursach mistrzowskich w różnych krajach, także w Gdańsku prowadzę już od siedmiu lat seminarium skrzypcowe. Ma ono dla mnie znaczenie szczególne, bo sam jestem gdańszczaninem i tu kształtowała się moja muzyczna osobowość. Dlatego chciałem coś zrobić właśnie w tym mieście. W jakimś sensie można to nazwać długiem wdzięczności.

- W sieci internetowej Gdańsk nie istnieje, niestety, jako miasto, w którym odbywa się „Gdańska Wiosna”. A więc działań muzycznych w Gdańsku nie zauważa się dostatecznie wyraźnie. Może trzeba stworzyć swo-

iste lobby ludzi z różnych środowisk, by to się zmieniło?

K.W. - Ma Pani dużo racji. Początkowo pomysł zorganizowania tego festiwalu w Gdańsku przyjmowany był z pewnym niedowierzaniem...

- Mówi Pan o reakcjach na ten pomysł w Niemczech?

K.W. - Nie, takie były reakcje w Polsce, a konkretnie w Warszawie. Mówiono: „W Gdańsku? To przecież jest prowincja!” Takie widzenie działa także w drugą stronę. Rozmawiam z gdańszczanami i co się okazuje? Dominuje pewien stan niemożności i w pewnym sensie pogodzenia się ze statusem prowincji na mapie kulturalnej. To prowincjonalne myślenie zaczyna się w nas samych, w gdańszczanach. I my przede wszystkim sami w sobie musimy to przezwyciężyć.

- Czy wobec tego Gdańsk jest miastem otwartym na muzykę? Czy jest Pan zadowolony z tegorocznego festiwalu, jeżeli chodzi o publiczność?

K.W. - W porównaniu z rokiem ubiegłym, frekwencja była znacznie lepsza. Z tego jestem zadowolony. Ale docelowo nie jest to jeszcze to, o co nam chodzi. A czy Gdańsk jest otwarty na muzykę? Nie udzielił Pani jednoznacznej odpowiedzi. I tak i nie. Jednak za każdym razem jestem zbulwersowany tym, że poszerzają się kręgi społeczeństwa tak pochłonięte sprawami wyłącznie materialnymi, że nie znajdują w sobie potrzeby uczestniczenia w kulturze, w tym także odwiedzania sal koncertowych. A przecież funkcjonuje w Gdańsku środowisko artystyczne związane choćby ze szkołami muzycznymi, w tym

z Akademią Muzyczną i stwierdzam autorytatywnie, że na koncertach tegorocznej „Gdańskiej Wiosny” było dużo młodych ludzi, ale to nie było absolutnie to, czego można oczekiwać po mieście uniwersyteckim. Jednocześnie okazało się, że gdy odwiedziłem wraz z Wandą Wiłkomirską moją szkołę muzyczną przy ulicy Gnilnej, to następnego dnia na koncercie widziałem tej młodzieży znacznie więcej. Za mało wychodzi się w kierunku młodzieży. Nie pokazuje się w sposób wystarczający wartości tkwiących w kulturze, a jeżeli nawet czynione są takie próby, to dlaczego jest to nieskuteczne? To my musimy kreować potrzebę bycia w kulturze, uczestnictwa w niej. Nie jest wytłumaczeniem fakt, że kraj jest biedny. Uważam, że zbyt wątle są działania, by pobudzić głód artystyczny, by tak zwane elity, środowiska opiniotwórcze robiły więcej dla kultury, angażowały się, także finansowo, w przedsięwzięcia kulturalne. Państwo, w sposób nieunikniony, wycofuje się z roli mecenasa. Ktoś musi je zastąpić, a każdy ma prawo do uczestniczenia w kulturze, nawet jeśli sobie tego do końca nie uświadamia.

- Z Gdańskiem łączą Pana więzy szczególne, choć w świecie muzycznym jest Pan kojarzony przede wszystkim jako hanowerczyk, inicjator Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Joachima. Pomimo rozlicznych obowiązków wraca Pan jednak rokrocznie do Gdańska. Dlaczego?

K.W. - Można by rzec najprościej, że tylko i wyłącznie i aż dlatego, że jestem stąd. Tutaj są moje korzenie, tu mieszka moja rodzina, tu mam czterech braci. Tu spędziłem osiemnaście i pół roku mojego życia.

- Pana profesja artysty, jak żadna inna, predestynuje Pana do dzielenia się tym, co Pan robi, z innymi. Jak zostaje się wielkim artystą? Jakie cechy charakteru sprawiają, że odnosi się sukces, bądź się go nie odnosi?

K.W. - Pierwsza i zasadnicza sprawa to być sobą. Osobowość artystyczna to człowiek wiarygodny, który ma coś ważnego do przekazania. Trzeba mieć coś do powiedzenia i trzeba umieć to wyartykułować. Umiejętność tego przekazu połączona ze szczerością wypowiedzi kształtują wizerunek artysty. Poza tym ważne są naturalnie takie cechy jak: wiara w siebie i w to, co robię, pracowitość, upór, konsekwencja w działaniu. Są to cechy niezbędne, by odnieść sukces.

- Skąd się wzięła Pana miłość do skrzy-piec?

K.W. - To była miłość sterowana. Mama z moją matką chrzestną postanowiły kupić mi na szóste urodziny skrzypce. Posłano mnie do szkoły muzycznej. Mógłbym, rzecz jasna, koloryzować i opowiadać, jak to mając sześć lat zobaczyłem po raz pierwszy skrzypce i zapalałem do nich wielką miłością. Prawda jest jednak taka, że tych początków nie wspominam ani dobrze ani źle. Potem przyszły pierwsze sukcesy i to zawsze uskrzydla, chce się być jeszcze lepszym i pracuje się jeszcze więcej. Sukces daje nową energię i do dzisiaj to, co robię, sprawia mi autentyczną przyjemność.

- Bardzo wiele czasu poświęca Pan pracy z młodzieżą. Czy można kogoś nauczyć, jak stać się wirtuozem i artystą zarazem?

K.W. - To jest świetne pytanie. Można nauczyć bardzo wielu rzeczy, ale pierwszym warunkiem, który musi spełnić ktoś, kto zamierza być artystą, to posiadanie talentu. Ten talent w połączeniu z osiągnięciem mistrzostwa technicznego daje nam dopiero fundament do wyrażenia własnej osobowości, do stania się artystą. Nie sądzę, że można nauczyć kogoś bycia artystą. Uważam, że talent jest potrzebny nie tylko w muzyce, są przecież utalentowani politycy i są

utalentowani malarze. Na co dzień mamy do czynienia zarówno z utalentowanymi lekarzami jak i rzemieślnikami...

- Istnieje przekonanie, że artysta musi się całkowicie poświęcić swej Muzyce. Ona zaś nie toleruje kompromisu z tak zwanym codziennym życiem. Jak Państwu udaje się to pogodzić?

Bogumiła Węgrzyn - Jest dużo prawdy w tym, co Pani mówi. Gdy dwoje ludzi przez pewien okres czasu chce robić to samo, a ja też jestem muzykiem, to najczęściej jedna musi z czegoś zrezygnować. Mając rodzinę, dzieci, trzeba sobie uświadomić, że nie można, przynajmniej ja tego nie potrafię, robić wszystkiego dobrze na „sto procent”. Mój mąż był tak zajęty, a któreś z nas musiało przejąć tę codzienną stronę życia. Mamy dwójkę dzieci i doszłam do wniosku, że to ja zajmę się domem. To był mój świadomy wybór. Naturalnie nie zrezygnowałam całkowicie z pianistyki.

K.W. - Rzeczywiście żona wróciła do grania. Kiedy nie było jeszcze na świecie naszych dzieci, bardzo często koncertowaliśmy razem. Teraz najczęściej akompaniuje naszej córce, która zamierza zostać śpiewaczką. Ma zresztą już na swoim koncie pierwsze poważne sukcesy artystyczne. Żona także, podobnie jak ja, uczy...

B.W. - Rzeczywiście, jest to wielka frajda. Największą przyjemność sprawia mi praca z dziećmi. One są tak chłonne i tak szczere, tego nie spotyka się już później.



Fot. Materiały własne CAPELLA GEDANENSIS

Krzysztof Węgrzyn i Wanda Wilkomirska po koncercie wieńczącym seminarium skrzypcowe

- Bardzo dziękuję Państwu za rozmowę i życzę dalszych sukcesów artystycznych.